№ 10. Warszawa, dnia (27 Lutego) 11 Marca 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25; półrocznie . „ 2.50; rocznie . . „ 5.—

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie Księgarnia Polska** Plac Maryacki 11; **w Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego.** W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu. **Za zmianę adresu kop. 15.**

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz **petitu** jednoszpaltowy lub jego miejsce **kop. 12** „**Nadesłane**“ wiersz garmontu **kop. 50.** Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa. Chmielna 26.** TELEFON 106.

Od Redakcyi.

Z uwagi, że spóźnione wnoszenie prenumeraty oprócz utrudnień dla administracyi, pociąga za sobą nadto niemożność obliczenia nakładu pisma, przez co wszystkim zgłaszającym się później odmawiać musimy wysyłania „Tygodnika” — upraszamy Szanownych Abonentów o wczesne wnoszenie prenumeraty na kwartał drugi roku 1899.

Przypominamy Szanownym Prenumeratorom o nadsyłaniu kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Adres: „Tygodnik Mód i Powieści” w Warszawie, Chmielna Nr. 26.

Złożyli na sanatoryum

dla suchotników:

Jan Skiwski	. rs.	25.—
A. S. i J. P.	. rs.	1.50
J. L., W. S. i A. M.	rs.	1.05
Razem	. rs.	27.55

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Jednak Wandzie było trochę żal tej ładnej krakowianki. Przytem, rozmyślając później o tem zajściu, nie mogła oprzeć się pewnemu szczególnemu przypomnieniu.

Jakkolwiek obojętna na piękność poezyi, zapamiętała jednak „Ucieczkę” Mickiewicza, której kiedyś na pamięć się uczyła. Otóż teraz gwałtem do głowy myśl się jej cisnęła, że jest dziewicą z ballady, którą straszny jeździec w nieznane strony uwozi...

— Sznur przeklęty! sznur znienacka
Rumakowi miga w oczy!
Patrz, jak zadrżał, bokiem skoczy...
Moja luba, rzuć te cacka!

— Cacka już wyrzucone—myślała — ale co będzie, gdy jeździec zażąda z kolei krzyża i różańca?

I z mimowolnem przerażeniem wpatrywała się w twarz Cieńskiego...

Ale ta twarz mizerna, zmęczona i jakby powstrzymywane cierpienie wyrażająca, nie miała w sobie nic złowrogiego — nic, coby ducha z ballady przypominało...

...Życie na księżycu nie wygasło! Profesor Schmidt obserwując długo i pilnie krater Linneusza, przekonał się, że uległ on znacznym przekształceniom, które niczemu innemu, jak tylko wulkanicznym wybuchom przypisać należy.

Ta wiadomość, nie będąca zresztą ostatnią nowością naukową, spotkała Wandę na wstępie do Paryża, to jest do paryzkiego świata naukowego.

Uderzoną została tą wiadomością silniej, niż całym materyalnym przepychem „stolicy świata.” Wobec tego księżycowego faktu zbladły w jej oczach wszystkie aktualne sprawy ziemskie. Zresztą nie miała ani czasu, ani środków na to, aby kosztować „babilońskich” rozkoszy Paryża.

O kilka tygodni spóźniła się na kursa, doganiać więc musiała kolegów i koleżanki. Praca nie była dla niej obcą; silna wola, wspomagana pewnym wrodzonym brakiem wrażliwości, pozwoliła jej w potrzebie odosabniać się całkowicie od zgiełku paryzkiego. W meblowanym domu na ludnym i hałaśliwym bulwarze, pracowała tak spokojnie i z takiem skupieniem ducha, jak w swym panieńskim pokoiku w X., którego ciszę zamącał tylko pisk jaskółek za oknem i szczekanie pieska domowego.

Pieniędzy nie miała zawiele. Pożyczka, ofiarowana przez Popiołka, wraz z zasiłkiem otrzymanym od matki, wystarczała jej tylko na skromny żywot studencki.

Zgodnie z zasadą, na której opierał się jej związek z Cieńskim, każde z fikcyjnych małżonków żyło „swoim dworem.“ Najściślej prowadzone rachunki nie dopuszczały, aby

jeden nawet centym przeszedł od niego do niej lub odwrotnie.

Poza tem spółka przynosiła istotną korzyść jednej i drugiej stronie. Wanda zwłaszcza nieraz ją w duchu błogosławić musiała. Cieński znał dobrze Paryż z dwukrotnych w nim pobytów, nieocenionym więc okazał się jako organizator spokojnego, taniego, nauce wyłącznie poświęconego życia. On też ułatwił jej wstąpienie na kursa, wprowadził do kółek studenckich, wskazał najlepsze pomoce naukowe — słowem stał się dla niej tem, czem bywa doświadczony wiarus dla nowozaciężnego kolegi.

Wanda miała dlań dużo wdzięczności, i wdzięczność tę objawić pragnęła. Ale to był człowiek drewniany. Drobne, gospodarskie usługi chętnie wprawdzie przyjmował — nie miał jednak zwyczaju okazywać, że są dlań miłe i pożądane. Nigdy też za nic nie dziękował.

Zresztą byli oni dla siebie zupełnie obcemi i czuli zaledwie, że się znajdują pod jednym dachem. Oboje zajęci nauką, zagrzęźli w studyach, obojętni na wszystko, co się z ich specyalnością nie łączyło, mieli w życiu codziennem bardzo mało punktów stycznych.

Wandę pochłaniała matematyka i astronomia. Cieński zatonął po same uszy w filologii. Dwa rodzaje studyów, niczem sobie nie pokrewnych, nie pozwalały im schodzić się ze sobą nawet na polu czystej nauki.

Przytem Cieński był człowiekiem chorobliwie nerwowym, roztargnionym, niespokojnym. Wszelka dłuższa z nim rozmowa była niemożliwa. Zmuszony uczestniczyć w obszerniejszej dyspucie, której przedmiot leżał poza sferą językoznawstwa, okazywał wyraźne znaki tak wielkiej niecierpliwości, że się zdawała cierpieniem fizycznem.

Gdy Cieński, obłożony stosem słowników i gramatyk, kopał się jak kret w zawiłościach filologii porównawczej, głuchym był na pukanie do swych drzwi. Możeby nawet i bicia w nie pięścią nie usłyszał. Często też jego poranne mleko i wieczorna herbata stygły przez długie godziny na krześle przy drzwiach. Wanda nigdyby się nie odważyła drzwi tych otworzyć, ani tembardziej progu ich przestąpić.

Kładła się zwykle późno, poświęcając znaczną część nocy na pracę. Ile razy jednak zdarzyło jej się, w godzinę lub dwie po zaśnięciu ocknąć na chwilę, zawsze w sąsiednim pokoju słyszała szelest przewracanych kart i łoskot rozrzucanych po stole książek.

Cieńskiego trawił już nie głód, lecz zajadłe łakomstwo wiedzy. Od dziewięciu lat błądził on po wszechnicach Europy, pijąc z coraz innych źródeł ludzkiej mądrości, a z żadnego napić się do syta nie mogąc.

Szczególny niepokój, z przepracowania mózgu niezawodnie płynący, nie pozwalał mu na żadnej drodze dojść do mety. Już na ostatnim kursie medycyny uczuł do niej nagłą niechęć, której zwalczyć nie chciał, a może nie mógł. Mało dbając o pięć lat straconych, porzucił bez namysłu uniwersytet i wyjechał do Heidelberga studyować nauki kameralne.

Ale i te nie zaspokoiły go na długo. Próbował kolejno to tego, to owego, myślał przez czas jakiś o pracy literackiej i męczył się nad kleceniem dziwacznych wierszy — wreszcie pociągnęły go języki wschodnie, i rzucił się na nie z zajadłością.

Dwie okoliczności podtrzymywały w nim ten stan gorączkowy: był sierotą i człowiekiem majątkowo niezależnym. Ojciec, bogaty rejent w jednem z głównych miast Wołynia, zostawił mu spory kapitał, nie zostawił zaś ni hartu woli, ani zachęty do pracy obywatelskiej, ani nawet zwykłego życiowego drogowskazu. Cieński miał wrodzone upodobanie do badań gabinetowych, do eksperymentów *in anima vili*, do książkowych szperań — za upodobaniem tem poszedł i w studyach biblioteczno-gabinetowych duszę utopił.

Wyrazy: kraj, społeczeństwo, służba publiczna — nie istniały dla niego. Co najwyżej mógłby był badać je etymologicznie, szukać ich źródłosłowów, poczynać sobie z niemi, jak z preparatem anatomicznym.

Marnotrawcą nie był, a właściwie: marnował pieniądze z systemem. Połowę kapitału unieruchomił w którymś banku. Wówczas dopiero miał ją podnieść, gdy się celu zamierzonego dobije. Resztę systematycznie przejadał w coraz innem z uniwersyteckich miast Europy.

O wiedzy Cieńskiego trudno było coś pewnego powiedzieć. Czasem, wpadłszy w zapał, wprawiał w zdumienie nadzwyczajnem bogactwem erudycyi. Daty, fakta, nazwiska, cytaty. sypały się z jego ust jak iskry z fajerwerkowego młynka. Nie było autora, któregoby nie czytał; nie było hipotezy, którejby nie umiał przytoczyć, objaśnić, a następnie zbić i unicestwić.

Zawsze wszakże powtarzało się przytem jedno: w najgorętszym ogniu rozprawy, właśnie gdy się ona stawała najbardziej zajmującą, i gdy wszyscy z zatrzymanym oddechem czekali na ostateczny wniosek, jakim mówca ją zamknie, Cieński nagle krzywił się boleśnie i—milknął. Więc cóż? więcej? Więc cóż? więc jakże?..—z ciekawością i niepokojem pytano. Odpowiedzi nie było, bo mówca zaraz po zamilknięciu stawał się całkowicie głuchym i niemym, i z wyrazem cierpienia w twarzy—uciekał.

Nic jednak to wszystko nie przeszkadzało Wandzie. Była ona całkowicie zadowolona ze swego towarzysza, i zaczynała nawet uczuwać dlań koleżeńską życzliwość.

Jesień paryzka, mżąca deszczem, mglista i spliniczna, ustąpiła miejsca zimie — mżącej deszczem, mglistej i splinicznej.

Rankiem, gdy Wanda szła na lekcye, Paryż tonął w mlecznych oparach, które wstawały z Sekwany, i najpierw pełzły wybrzeżami, a potem wzbiwszy się w górę, czepiały nakształt zbitego kłębu waty, szczytów wież i wysokich dachów.

Pod tem nakryciem wszystkie głosy uliczne nabierały szczególnych, przytłumionych dźwięków. Zdawało się, że całe miasto schowano pod olbrzymi dzwon machiny pneumatycznej. Oddziaływało to w szczególny sposób na fizyczne właściwości mowy, a zarazem i na duszę.

Ci wszyscy cześni przechodnie, do najrozmaitszych klas społecznych należący, mieli w twarzach jakieś wspólne znamię, które mówiło:

— Do jednego pudła nas schowano, do jednego! Zbliżmy się, poznajmy się — weselej nam będzie!

Ten nastrój wywoływał swobodne i przyjacielskie spojrzenia mężczyzn, ośmielające uśmiechy młodych, śpieszących do pracy kobiet — udzielał się nawet dziatwie, która była gotowa łasić się do każdego mężczyzny, jak do ojca, do każdej kobiety, jak do matki.

Paryż lubi te szczególne nastroje, tak samo, jak lubi od czasu do czasu upijać się demokratyczną równością.

Ale Wandzie nie przypadło to do smaku. W szarym, długim, na wszystkie guziki szczelnie zapiętym paltocie, ze spuszczonemi oczyma, poważna i surowa, przesuwała się szybko chodnikiem, na nikogo i na nic nie patrząc. Mimo skromnego ubrania, znać było, że znaczna przestrzeń dzieli ją od tłumu.

W sercu tej córki prowincyonalnego urzędnika, pod popiołem pozornej obojętności, tlał płomień wielkiej i jedynej żądzy. Była to żądza wyodrębnienia się i wywyższenia. Żądza ta, choć usilnie skrywana, wychodziła niekiedy na twarz tej wysokiej a szczupłej i mizernej dziewczyny. Fizyognomista mógł był ją wówczas wyczytać z wyrazu wązkich, zaciętych warg i ze zmarszczki pionowej pomiędzy brwiami.

Myśli i marzenia tej dziewczyny, patrzącej w ziemię, unosiły się wysoko po nad ziemię.

(Dalszy ciąg nastąpi).

„Życie" krakowskie.

(Dokończenie).

Z prozą dlatego jest trudniej, że kto nie może zbyt wiele przytaczać, ten potrzebowałby streszczać, a myśl streszczania prac drukowanych w „Życiu" w większej części okazać się może niewykonalną. Do takiego właśnie rodzaju należy utwór napisany przez p. Dagny Przybyszewską, opatrzony dewizą: „Singt mir das Lied vom Leben und vom Tode."

Tu nietylko o treści, ale nieledwie, że i o znaczeniu, czem ma być utwór sam, mowy być nie może. Mgliste, nieujęte, niepochwytne—obrazy bez konturów—myśli bez spójni — postacie widmowe. Jest tam niby forma mistrza-kierownika, ale niema ani daru jego słowa, ani głębi jego, którą bądź co bądź pod zgliszczami i popiołami odszukać musi człowiek beznamiętnego sądu. Niema w tem nic dziwnego, bo szkoła niedosięgła twórcy, ale też ta szkoła właśnie wskazuje najwymowniej, jaka jest przyszłość kierunku całego. Naśladowcy pochwycili tylko manierę, a maniera uciążliwa przy talencie, bogactwie wyobraźni i wiedzy, bez talentu i tamtych darów staje się wprost niemożliwą.

Fr. Nietschego z *Aiso sprach Zarathustra* i *Siedem pieczęci*, albo *pieśń* o *Tak* i *Amen*.

Jeden z utworów dobrze dostrojonych do tonu panującego w piśmie, to „Noc poślubna," przełożona z Gustawa Wieda. Jest to niby dramatyzowany dyalog między babką a wnuczką, prowadzony w noc weselną owdowiałego ojca tej małej, a zarazem zięcia owej babki.

Staruszka jest w rozpaczy, bo czuje, że cień, że wspomnienie nawet jej zmarłego dziecka wygnanem będzie wraz z dniem dzisiejszym z tego domu, przewiduje nadto, że ta sierota może się przywiązać do macochy, może zapomnieć o tej, która zapomnianą być nie powinna, i to wszystko wprawia ją w rodzaj szału. Widząc, że dziecko godzi się z losem swoim, że wychowane w atmosferze żałobnej wydziera się do życia, które ta druga wniesie w dom ojcowski, przychodzi do obłędu i myśli zbrodniczych. Dotąd miała tylko postanowienie skończenia z własnem życiem, i dlatego mistyfikowała lekarza rzekomą potrzebą większej ilości jakichś kropli, które sobie zbierała na tę stanowczą godzinę, teraz zaświtało jej w głowie, że w drogę, w którą się wybiera, dobrze byłoby zabrać i wnuczkę. Po co dziecko ma żyć w niepamięci matki, po co ma być niewdzięcznem, po co ma darzyć miłością ojca, który na nią nie zasługuje, i tę jakąś obcą...

Rzecz zdecydowana. Mała jest senna, ale się uśmiecha rozkosznie do dnia jutrzejszego, mówi o tej kobiecie obcej ciągle, babka widzi, że daremnie byłoby ją przekonywać, i w tej chwili wypiwszy ze szklanki płyn przygotowany, chwyta główkę dziecka i przydusza ją do krawędzi łóżka. Nie dokazała swego odrazu — czy siły młode okazały się tak odporne, czy jej ręce stare tak bezwładne, dość że dziecina omdlała tylko, więc gdy dostrzega, że dziecko przychodzić do siebie zaczyna, podaje mu resztę zawartości tej morderczej szklanki... koniec wiadomy.

Obłędna zaciekłość autora, aby za wszelką cenę stworzyć sytuacyę potworną, aby z miłości nawet wielkiej, koniecznie wysnuć czyn zbrodniczy, kazała mu rozejść się z prawdą życiową i psychologicznemi właściwościami podobnego procesu myśli w danych warunkach. Szały namiętne obłąkanych zmysłów w wieku młodym wziął autor za jeden i ten sam nastrój, który towarzyszy beznadziejnym boleściom i rozpaczom wieku późnego. Wielka, niezmierna, a właściwie mówiąc obrzydliwa pomyłka! Nie tak odchodzą ci, którzy złożyli do grobu wszystkie nadzieje i miłości swoje. To jest kłamstwo proste, popełnione z myślą a priori powziętą stworzenia czegoś ohydnego, to wynicowanie uczuć najbezinteresowniejszych, jakie Stwórca włożył w pierś ludzką, a do liczby takich w pierwszym rzędzie zaliczają się uczucia dziadków, to jedna z tych potwarzy szpetnych, rzuconych na ludzkość, któremi przekrwione mózgi potępieńców, kłócą z życiem niedoświadczonych i łatwowiernych. Miał przed sobą perłę uczuć i bohaterstwo, z rezygnacyą Chrystusową, dźwiganego krzyża, i nie potrafił z niej nic ulepić prócz kryminału! Psychopata!

To jest ta twórczość, która wedle zapatrywań autora „programowego Confiteor," żywiołowo wybucha z duszy artysty. Niema co mówić! czysta to musi być głębia cała.

Ale co najważniejsza, to że ten uwiąd starczy nie płodzi nic, oprócz ohydy takiej i podobnej.

Już to co się tyczy potworności, to nie skąpi ich „Życie" we wszystkich trzech numerach swoich. W trzech ciągach dopiero mieści się początek powieści p. Przybyszewskiego, noszącej obiecujący tytuł „Androgina," a czegóż to tam już niema dla wyobraźni, która się lubuje w grozach, obrzydliwościach i rozkładzie wszelkiego rodzaju! O treści nic dotąd wiedzieć oczywiście nie można, ale obrazy są z pewnością, jeśli je tylko wogóle obrazami nazwać się godzi. Jużciż z jednę próbkę jakąś, choćby dla usprawiedliwienia się przed czytelnikami, dać tutaj musimy.

Dotąd mamy tylko wizye jakiegoś księcia (rozumie się, bo jakżeby się bez wizyi obejść miało), z okien swojego maurytańskiego Alcazaru spoglądającego na miasto, które mu ojcowie jego przed tysiącem lat zbudowali. Jak idzie o wizye. to już ich tam autor nieposkąpił, boć tutaj pole obszerniejsze, jak w rzeczywistości, a więc:

„Ujrzał naraz książę, jak się kanały zaludniają, jak się przez te bezliczne ganki leją potworne strumienie cielsk ludzkich. To już nie ludzie, ale straszliwe torsy, kawały, bezkształtne masy ciał. Święty ogień poodgryzał ręce i nogi, poprzepalał ciało, tak, że w strasznych ochłapach od kości odpadło, głowy się chwiały na porozluźnianych kręgosłupach, szczęki obwisły, a z szeroko porozdziawianych jam ustnych wisiały krwawe, spalone bełkocące języki, jak potworne opuchłe pałki, licho wie jakich, archidei."

Otóż ten książę zobaczywszy to w marzeniu, chciał także w marzeniu uciekać, ale

„wszystkie ulice były zapchane temi gnijącemi, trędowatemi cielskami, cały ten potworny strumień gnijącego mięsa zwalał się coraz bliżej, coraz straszniej, podrzucał się w górę w dzikich podrywach, skłębiał, przewracał i przewijał, a z tej zgrai ludzkiej, z tego bruku gnijącego mięsa, podskakiwały w górę straszliwe, krzyczące, grożące pięście.

„Książę drżał jak w febrze, krzyknął, nie mógł myśleć dłużej, i znowu jął patrzeć na miasto, na wściekły strumień, co w kształcie pętlicy lub świętej jakiejś omegi wrzał i pienił się wokół miasta i t. d., i t. d., i tak w nieskończoność..."

Możemy wam poręczyć czytelniczki szanowne, żeśmy wam nie radzi byli podawać tego śmietnika, ale się w istocie czujemy do pewnego stopnia zmuszonymi tym razem do tego kroku, dzięki bardzo szczególnemu zachowaniu się odnośnie do „Życia" większej części naszej prasy.

Niektórzy przez wzgląd zapewne na talent jego kierownika, którego nikt. kwestyonować nie myśli, milczą dyskretnie; inni, a do tych ostatnich należy i jedno z bardzo wybitnych piór naszych, nietylko przemilcza o krzyczących ekstrawagancyach antyspołecznej i antyetycznej strony programu, ale nadto w tonie uznania mówi o jakiejś sile, o mocnem przekonaniu, o wielu stronach dodatnich, co wszystko razem czytelnik wziąść poniekąd musi za wyraz uznania, pozwalający przewidywać rozwój kierunku i dobrze wróżyć o jego przyszłości.

Przyszłości! Alboż jest jaka przyszłość przed temi kontorsyami myśli ludzkiej? Przecież nie godzi się, jak to robią krytycy niektórzy, nazywać tego wszystkiego szukaniem nowych dróg dla twórczości — nie godzi się mówić o nastroju tam, gdzie wszystko dyszy rozstrojem — widzieć dzień jutrzejszy przed kierunkiem, który zaprzeczywszy wszystkiemu, co stanowi nieśmiertelny pierwiastek piękna, doskonalenia się, ideału, wzlotu, wydobywa same — ale wyłącznie i jedynie same tylko męty, obłędy, hallucynacye mózgów, i bluźnierstwa serc zwyrodniałych w ich jakiemś przedostatniem rozkładowem stadyum—kierunku, u którego szczytny heroizm i wyrozumowany występek mają równe zupełnie prawo obywatelstwa.

Żywimy szczery wstręt do napaści na cudzą pracę, a choćby i na cudze uwidzenia jakiejkolwiek natury, ale tym razem położenie, przyzna nam każdy, jest całkiem wyjątkowem.

Przecież to jest siła, która myśli strącać, obalać, która się rozsiąść chce tam, gdzie królowała dotąd niezrównanej potęgi i niezrównanego wdzięku i wzlotu pieśń nasza. Wszak to mają być rozpoczynający jakąś nową erę, chcący zasłaniać sobą—to ci, co swoje pogaństwo noszą jako sztandar, a ze swoich szałów zamyślają zrobić jakąś religię przyszłości, z epileptykiem-artystą jako arcykapłanem.

Za pozwoleniem! Nie wszyscy wybierają się w tę drogę—nie wszystkim jednako pilno do szpitala! Powoli!

A. S.

Sprawozdania literackie.

Gruszecki Artur: Szachraje—powieść współczesna.

„I świat ten cały był giełdą bez Boga..." Te słowa wielkiego poety, nieśmiertelnego idealisty, przychodzą na pamięć bezwiednie, mimowoli, i domagają się wypowiedzenia, drżą w uchu, zmilknąć nie chcą długo, tak długo, jak trwa wrażenie wstrętu, wywołane obrazami powieści p. Gruszeckiego.

Powieść ta, raczej szkic społeczno-obyczajowy przez długie dwa tomy obraca się dokoła spekulacyi giełdzianych, i odsłania przed czytelnikiem tajne sprężyny rozmaitych zjawisk życiowych, którym ogół przygląda się zazwyczaj z otwartemi ustami, nie rozumiejąc jakim sposobem, dlaczego, dzięki czemu stało się to lub owo.

Autor ze znajomością rzeczy, jak się zdaje, traktuje swój przedmiot, i dosyć śmiało zanurza rękę w te męty. Nazwałam utwór jego szkicem społeczno-obyczajowym, gdyż jak na powieść za uboga tu fabuła, zbyt potężne przeładowanie szczegółami spekulacyi pieniężnych.

Pomimo to, od początku do końca z zajęciem czytać może książkę nawet człowiek, stojący bardzo daleko od wszelkich manipulacyi tego rodzaju. Najmniej też wtajemni-

czony w wypadki, wstrząsające światem pieniężnym Warszawy, odgadnie z łatwością, że osnowy szkicu swego nie czerpał autor z wyobraźni, lecz wziął ją z tutejszego gruntu, domyśli się nazw niezbyt starannie zamaskowanych firm, akcyi i postaci graczów.

Rozumie się, że naród, którego prorocy nie mogli oduczyć od czci złotego cielca, objął najpierwsze role w tej obrzydliwej komedyi.

Głównym bohaterem jej jest bankier Strauchfeld. Postanowił on zdobyć miliony i szuka interesu. Interesem mogłyby być podupadłe, prawie bez wartości akcye jednej z wielkich fabryk żelaza. Akcye można kupić tanio, interesa fabryki podźwignąć przy pomocy reklamy, syndykatów, płatnych artykułów gazeciarskich, wyszachrowanych obstalunków, i t. d. Wtedy akcye kupione za bezcen pójdą w górę i majątek gotowy. Nie sądź jednak czytelniku, że to taka łatwa sprawa. A współzawodnicy? Oni też nie przebierają w środkach. Do takiego interesu trzeba mieć głowę *fein*. P. Strauchfeld miał taką głowę, więc doszedł do milionów, syna ożenił ze szlachcianką, córkę wyda prawdopodobnie, a może wydał już za szlachcica, i jest bardzo szczęśliwy, i wszyscy mu się bardzo nizko kłaniają.

Ile razy przytem podeptano prawa etyki, ile zgwałcono sumień, ilu naiwnych naciągnięto—nie pytajmy lepiej.

Nie będę opowiadała czytelnikom całej historyi obrotów tego pana. Potrzebaby zapuścić się w szczegóły, co zabrałoby nam zbyt wiele miejsca i czasu. Wolę zatrzymać się nieco dłużej nad artystyczną stroną utworu.

Powiedziałam już, że nawet człowiek zupełnie niekompetentny w sprawach pieniężnych czytać może „Szachrajów" z zajęciem. Niemałe to zwycięstwo nad tematem, który nawet pod piórem autora „L'argent" staje się zabójczo nudnym.

Jako przeciwieństwo do świata bankierów, kantorowiczów, agentów handlowych, zbankrutowanych na wszystkie strony fabrykantów, lichwiarzy i innych figur w tym rodzaju, gotowych zawsze do kupczenia bodaj w świątyni, stworzył autor kilka postaci z innej gliny. Idealistą, marzycielem jest najpierw syn p. Strauchfelda. Dusza dziadka rabina pokutuje w tym młodzieńcu. Miłośnik abstrakcyi pogrążony w nauce, nie chce wiedzieć o świecie rzeczywistym, brzydzi się operacyami giełdowemi, ale jest naturą zbyt bierną, by mógł i chciał zaprotestować czynnie przeciw nieprawym sposobom zdobywania złota. Przyjmuje też z rąk ojca z posłuszeństwem synowskiem wyszachrowany majątek i wyszachrowaną żonę. Panna Danborska to postać, ku której zwracają się przedewszystkiem sympatye autora. Czy słusznie, niech czytelnik osądzi sam.

Panna ta pochodzi z podupadłej arystokratycznej rodziny. Mieszka z matką w trzech pokojach, i musi liczyć się z groszem. Panie te żyją z procentów od niewielkiego kapitaliku, kilkunastu tysięcy rubli, który pozostał im z rozbicia wielkiej fortuny. Panna oświadcza, że chciałaby zabrać się do pracy, że mogłaby dawać lekcye. Matka oburza się. Danborska nie może być guwernantką! Któż zresztą żeni się z guwernantkami?! Córka jest tak dobrą córką, że bez oporu najmniejszego rezygnuje ze swoich zamiarów.

Te dwie kobiety oplata bankier Strauchfeld siecią swoich intryg. Ich kapitalik przydałby mu się bardzo w początkach karyery naturalnie, na kupno owych tanich akcyi.

Namawia panią Danborską na grę, zachęca ją łatwemi zyskami, wciąga w szachrajstwo giełdowe. Chwilowa zniżka papierów rujnuje chciwą na niezarobiony pieniądz kobietę. Wtedy bankier pozwala jej dojść do ostatniej nędzy, bez względu na to, że właśnie dzięki jej stosunkom zdobył liczną klientelę, i zdołał wprowadzić interes swój na pożądane tory. Strauchfeld kupuje od lichwiarza weksel p. Danborskiej, i robi zajęcie jej ruchomości, jednocześnie zaś namawia gospodarza domu, by wypowiedział jej mieszkanie.

Doprowadziwszy ją do ostateczności, przychodzi ze świetną propozycyą: prosi o rękę panny dla swego syna. Matka oburzona, wypędza go ze swego domu, ale córka, która gdy chodziło o pracę uczciwą, nie umiała sprzeciwić się matce, teraz znajduje dość siły, by wbrew jej woli poświęcić się dla niej i sprzedać żydowi. To małżeństwo, to korona zabiegów p. Strauchfelda. Na niem też kończy się powieść. Młody Strauchfeld okazuje wciąż największą bezinteresowność i szlachetność, panna nie wychodzi z roli ofiary i oboje wagonem pierwszej klasy wyjeżdżają zagranicę.

Ejże, doprawdy bywają przykrzejsze ofiary.

Po przeczytaniu powieści do końca, przychodzi ochota zapytać autora, czyż istotnie na świecie energia, wola, przedsiębiorczość, są przywilejem szachrajów jedynie? Czyż wszyscy idealiści są tak bezkrwistemi postaciami, jak młody Strauchfeld, albo rozmarzona córka jednego ze współzawodników jego papy? Czy wreszcie istotnie panna Danborska nie miała innej już drogi przed sobą? Gdyby była tem, za co chce przedstawić ją autor, czyż nie obrałaby raczej życia pracy, trudu, poświęcenia—bodaj nędzy!

To niedociągnięcie struny przez autora, rzuca wbrew jego woli fałszywe światło na te umiłowane przezeń postacie. Wyglądają oni wszyscy, ci idealiści, na obłudników, którzy pojmując złe, potępiając je w duszy, przyjmują je jednak i używają jego owoców.

Szkoda, że autor nie pogłębił swoich pomysłów, nie stawił żywszych kontrastów. Sytuacye stworzone przezeń są materyałem na dramat, nawet tragedyę. Potrzeba tylko sięgnąć głębiej.

Jedna jeszcze uwaga nasuwa mi się tutaj. Oto odzywają się niekiedy, a dawniej za czasów ś. p. pracy organicznej, odzywały się częściej jeszcze głosy ubolewające nad tem, że w świecie finansowym tak mało spotyka się żywiołu czysto polskiego, że firmy bankierskie tak rzadko kończą się na „ski" i t. p.

Czy istotnie godzi się ubolewać nad tem, czy naprawdę powinniśmy cisnąć się do tego przybytku złotego cielca, zwanego giełdą?

Niema co łudzić się niedorzecznym, a niestety utartym frazesem o etyce zawodowej. Prawa etyki są zawsze jednakowe. Giełdziarska etyka zaś jest poprostu zniewagą etyki.

Więc niech już lepiej będzie po dawnemu dopóty, dopóki świat nie dojdzie do wyrugowania ze swych dziedzin uprawnionego szachrajstwa. Nie dążmy do tego, by „świat ten cały był giełdą bez Boga."

H. C.

Literatura dla dzieci

Wedle zapatrywań Anatola France.

Podobnie jak w każdej kwestyi pierwszorzędnego znaczenia, tak i w sprawie tego, co i kiedy wiekowi dziecinnemu, jako karm umysłową podawać należy, zdania niezmiernie są podzielone. Jedni idąc za wskazaniami nauki, radziby wyłącznie pielęgnować organizm fizyczny, opóźniając rozwój umysłowy do granic możliwości—innym zwiększająca się trudność warunków bytu nasuwa konieczność wczesnego przygotowywania człowieka do walki życiowej. Wszyscy ludzie tej kategoryi, o których się mówi, że sparzyli się na gorącem, a przeto dmuchają dzisiaj na zimne, jak ognia wystrzegają się budzenia w dziecku uczuć i folgowania jego wyobraźni. Ci znowu, którzy bacznie przypatrują się pierwszym pokoleniom, wychodowanym w pedagogicznych cieplarniach dzisiejszego racyonalizmu, odwracając się z odrazą od tych, co prawda wcale nie zachęcających, próbek systemu, wołają: „Wszystko, byle nie to! Rozwijajcie uczucia, folgujcie wyobraźni, rozbudzajcie entuzyazmy, róbcie co chcecie, byle nie kulturę dalszą tego szablonu człowieczeństwa — nie tę produkcyę amfibij, które może nie narażą świata na wstrząśnienia i katastrofy, ale za to na pewno rozpoczną nową erę metodycznego rozkładowego procesu!

Ponieważ we wszelkiem na ten temat starciu opinii, idzie w gruncie rzeczy o jeden z dwu dotkniętych powyżej kierunków wychowania młodzieży, nie od rzeczy przytoczyć będzie zapatrywania na literaturę dziecinną, jednego ze współczesnych bardzo wybitnych autorów francuzkich, jakim jest Anatol France niezaprzeczenie. Oto są rezultaty jego doświadczenia i obserwacyi:

„Pierwszem pytaniem, które roztrząsnąć należy, jest, czy najlepszą w istocie strawą dla umysłu dziecka jest jedna z tak zwanych książek dla młodego wieku?

„Praktyka odpowiada na to przecząco. Dzieci wprędce nabierają do tych książek niezmiernego wstrętu, który zresztą możemy sobie łatwo usprawiedliwić! Wszak one od pierwszej strony czują, że autor robi wysiłki, aby się do ich pojęcia zniżyć—że zchodzi do ich sfery, zamiast je wprowadzić do własnej—że wskutek tego nie odnajdują one w jego dziele tego ducha nowości, za którym człowiek upędza się od niemowlęctwa samego. To dziecko, wszak ono ma już w sobie zarodek ciekawości, która tworzy uczonych i poetów — ono szuka świata — tajemniczego świata; jak się tu dziwić, że autor, który je zmusza do pozostania w zakresie dotychczasowych pojęć, zanudza je śmiertelnie.

„A przecież nie nad czem innem, tylko nad tem pracują wszyscy piszący książki dla dzieci. Autor chce się stać podobnym dziecku, i staje się niem w istocie, mniej tylko jego niewinnością i wdziękiem.

„Zrobicie mi jednakże zarzut, że bądź co bądź należy się przystosować do umysłowego rozwoju dziecka.

„Zapewne, że trzeba, ale środki obierane do tego celu bywają często najgorsze. Autor przymusza się, żeby być niemądrym, wygłasza w tonie błogosławionym a pozbawionym wdzięku myśli odarte z siły—jednem słowem pozbywa się tego wszystkiego, co w inteligencyi dojrzałej stanowi dla dziecka powab—co oddziaływa.

„Raz trzeba uwierzyć w to, że małym chłopcom i małym dziewczynkom podoba się przedewszystkiem to, co nosi cechy podniosłości, to co zawiera sytuacye szczytne, co jest oddane stylem silnym i zdrowym. Nie raz jeden dawałem dzieciom niektóre pieśni Odyssei w dobrym przekładzie — były zachwycone. Starannie oczyszczony Don Kiszot, wszak to jedna z faworytalnych książek, w których się pogrąża każde dwunastoletnie dziecko. Ja sam czuję po sobie, że wielką część tej pogody umysłu, która mnie nie opuszcza dotąd, zawdzięczam Cervantes'owi. A Robinson Crusoe? Przecież to jest od wieku całego klasyczne dzieło młodego wieku, ten sam Robinson, który napisanym został dla poważnego kupiectwa Londyńskiej „City" i dla majtków królewskiej marynarki. Autor włożył tam całą prawość swego umysłu, i naukę rozległą, i wielkie doświadczenie życiowe, a tego wszystkiego nie okazało się bynajmniej nadto dla zabawienia szkolnych żaków.

„Arcydzieło, które wymieniłem, to dramat przeżyty przez istotę ludzką, a najpiękniejsza książka nie owładnie duszą dziecka, jeśli myśli wypowiedziane w niej wyłożyć będzie chciał autor w abstrakcyach. Miałem nauczyciela w szkołach, któregośmy co prawda do orłów nie zaliczali; ten doradzał nam czytać przez wakacye dla rozrywki Mały Post Massilona, dając nam do zrozumienia, że jego to dzieło rozrywa nadzwyczajnie. Tymczasem ja nie waham się twierdzić, że dziecko, któreby sobie upodobało książkę podobną, byłoby potworem, albo musiałoby wyrosnąć na potwora.

„Niechaj w tej książce dziecinnej wszystko wre życiem, niechaj będzie wielkiem, przestronem, potężnem, a pociągnie dziecko z pewnością, byle nie budziło zmysłów, bo przeciw temu zastrzegam się z całą stanowczością. To też gdy widzimy, że książka zajmuje dziecko, bądźmy przekonani, że i dojrzały człowiek przeczytać ją może z zadowoleniem.

„W sumie biorąc nie mam wielkiej ufności do książek pisanych specyalnie dla młodego wieku, a między tą całą literaturą wybierając, gotów jestem przyznać pierwszeństwo kobiecie pod względem daru umiejętnego przystosowania się do poziomu umysłów dziecinnych. Skoro jednakże już ktoś zrobił sobie z tego działu swoją autorską specyalność, mogę mu tylko tyle zalecić: Staraj się myśleć jak najgruntowniej i jak najszlachetniej, a pisz najlepiej jak zdołasz. To jedyny sekret podobania się twemu światu czytającemu.

„To wyraziwszy, zdawałoby mi się, że wypowiedziałem się całkowicie, gdybyśmy niestety nie mieli we Francyi, a bodaj że i w świecie całym, tej upowszechnionej idei od jakichś lat trzydziestu może, dzięki której zaczynamy dawać dziecku w rękę tylko naukową książkę, a strzeżemy go, niby od zarazy, od wszystkiego, co jest poezyą. Ma niby ta poezya bałamucić umysły. Zakorzeniło się to mniemanie tak dalece we Francyi, że dziś, jeśli wydawca robi przedruk Perrault'a naprzykład, to tylko uwzględnia on w widokach swoich artystów i bibliofilów. Robi też wydania tylko zbytkowne—dziecka nie bierze on już w rachunek wcale. Przeciwnie, katalogi illustrowane wydawnictw dziecinnych uderzają wzrok kolorowanem wyobrażeniem krabów, pająków, gniazd liszek i aparatów gazowych. Powódź książek takich ukazuje się z każdym rokiem nowym. Przepadły piękne kształty i widoki, skończone z podniosłemi myślami. Ani sztuki, ani dobrego smaku! Na placu same reakcye chemiczne i stany fizyologiczne. Widziałem nawet alfabet cudów współczesnego przemysłu.

„Straszna rzecz być dzieckiem naszych czasów! Widać, że za lat 10 wszyscy mamy zostać elektrotechnikami.

„Zamknij tę książkę, panno Janino, mówi się do dziewczynki, pochwyconej na jakiejś defraudacyi, która ją pobudza do płaczu — zamknij to, a zabierz się lepiej do twojej eteryzacyi. Piękna rzecz, żebyś ty, panno Janino w siódmym roku życia nie miała jeszcze wyrobionego pojęcia o własnościach tlenku azotu!

„Dr. Figuier gorszy się, gdy dzieciom mówić o wieszczkach. Wieszczki istnieją tylko w wyobraźni, woli im tedy opowiadać o guanie, do którego pojęcia wcale nie potrzeba imaginacyi przywoływać w pomoc.

„Doktorze szanowny! Te wieszczki istnieją przez to właśnie, że istnieją w wyobraźni, a najdrobniejsza książeczka, która obudzi w dziecku myśl poetyczną, uczucie podniosłe, która wstrząśnie duszą, stokroć więcej warta, jako czynnik wychowawczy od wszystkich waszych mechanik i chemij. Oto właśnie jeden ze zbieraczy podań fantastycznych i czarodziejskich baśni, p. de Lescure, w tych słowach wyraża się w przedmowie o ich niezbędności w wychowaniu: „Potrzeba zapomnienia chwilowego o ziemi, o bycie, o rzeczywistości, o zawodach i upokorzeniach tak dotkliwych często dla serc młodych, jest stwierdzoną, uznaną i zrozumiałą zupełnie. Nietylko uśmiech, ale i zdolność do marzeń wyróżnia człowieka od zwierząt, i stanowi jego wyższość."

„Nie lękajcie się przytem, powiada Anatol France, że zaprzątając umysł dziecka wieszczkami i gnomami, wprowadzacie je w błąd, bo nadużywacie jego łatwowierności. Aż nadto dobrze pojmuje to dziecko, że życie nie ma tych potęg dziwacznych. Często bardzo wasza nauka ożeniona z rozrywką tumani mu rozsądek stokroć gorzej. Jeżeli dziecko skłonne jest uwierzyć w coś, w co wierzyć nie powinno, to z pewnością wtedy, gdy je pan Verne zapewnia, że się można w pocisku wyrzuconym przez armatę dostać na księżyc, albo gdy snuje inne zmyślenia, w których nie szukać ani prawdy, ani piękna. Obok nauki, obok cyfr, dziecko potrzebuje tego pierwiastku, który wzrusza — nie lękajcie się wstrząśnień dla jego ducha.

„Niestety, za wielu aptekarzy liczą społeczności dzisiejsze!

„Ale wy, matki, nie usuwajcie z przed dziecka waszego świata dziwów. Ten świat sam przez się uchroni je od upadku w pospolitość, i zabezpieczy przeciw wielu łatwym zboczeniom."

Wydaje nam się, że niejeden nasz pedagog wytrawny, w znacznej części przyznałby słuszność uwagom francuzkiego pisarza.

S.

Juliusz Zeyer.

Trzy legendy o krucyfiksie.

przełożył z oryginału MIRIAM.

II.

El Christo de la luz.

Legenda Toledańska.

(Dalszy ciąg).

Srebrny dźwięk dzwonu z kościółka wtórzył teraz jasnej, cichej, świętej ich pieśni. Psalm ich płynął w balsamicznem powietrzu wieczora, przesyconem wonią drzew szumiących za pustelnią, tak samo właśnie, jak szumiały przed synagogą podczas modłów dzieci Izraela, a podobnie, jak Rispa śpiewała była o Syonie i królu jego, sławiły teraz mniszki wielkość Boską i chwałę Króla Wybranego.

„Wykwitła różdżka na szczepie Jessego, narodzon jest syn z rodu Dawida! A Bóg wywyższył go, jako chorągiew purpurową, i wszystkie narody świata kłaniają się Jemu! Hosanna! Śpiewajcie chwałę Króla Syońskiego, Jezusa Chrystusa, Odkupiciela, Syna Bożego!"

Abisain zazgrzytał zębami; ten śpiew zdawał się wyszydzać jego ideały, jego nadzieje—wszystko najdroższe, co w sercu chował—jego pobożność, jego modlitwy, jego marzenia! A nie mógł zrobić kroku, aby uciec od tych dręczących go wrażeń, bo ludzie stali przed nim, stali na prawo, stali na lewo, wszędzie, a nieruchomie, jak mur, o który się opierał. Abisain pragnął być głuchym, aby nie słyszeć—ślepym, aby nie widzieć, ale oczy jego, jakby na przekorę, otwierały się szeroko i zagłębiały samowolnie, bez jego przyczynienia, we wnętrze oświetlonego kościoła, którego drzwi otwarte ziały w mrok ulicy.

Obie małe nawy świątyni były zalane jasnością lamp, zwisających ze stropu, którego proste kamienne łuki krzyżowały się, spoczywając na czterech kolumnach stylu arabsko-

bizantyńskiego. Między światłami wisiała tarcza na której płonął złoty napis: „Mnie nosił król Alfons VI, a powiesił mnie w tej pustelni, gdy zdobył Toledo na niewiernych, i gdy tutaj, pod tem sklepieniem, pierwszą w mieście odprawiono Mszę św."

Abisain oderwał teraz gwałtem wzrok od tego napisu, i spojrzenie jego osunęło się na białą glorye tych, gorejące świece trzymających, mniszek, które powoli zbliżały się do cudownego, słynnego krzyża z wizerunkiem Zbawiciela, znanego pod nazwą „Chrystusa Światłości," od którego nazwa i kościołowi się dostała. Teraz poczęły zakonnice znowu śpiewać.

Blade dziewice ze wzrokiem płonącym mistycznymi żary, wylewały hymny swe, jak balsam woniejący, u stóp posągu Chrystusowego, Abisainowi wszakże zdawało się, że balsam ten, że tę woń czarodziejską ukradziono ze świętych ogrodów poezyi hebrajskiej, aby niegodnie sprofanowane porzucić w miejscu nieświętem.

Procesya zatrzymała się przed grubo ciosanym krzyżem tym, z którego spoglądał Chrystus, figura dość nieumiejętnie wykonana, ale z obliczem pełnem dobroci, boleści i współczucia. Mniszki klękały, potem wstawały jedna po drugiej i pozdrawiając Króla Syońskiego, całowały gwoździem przebitą nogę figury.

Abisain czuł coś w rodzaju omdlenia, wywołanego stłumioną gwałtownie wściekłością, i zdało mu się, że się zadusi, jeśli nie wykrzyknie straszliwej jakiejś klątwy na tych bałwochwalców i na samo to zsiniałe bożyszcze! Szukał w pamięci zaklęć czarnoksięzkich, znanych mu z tajemniczej, ukrytej wiedzy, której się oddawał—zaklęć, któreby i te mniszki, i tych pozostałych niewiernych w kościele i na ulicy, w kamień martwy obróciły. Nakoniec udało mu się przymknąć oczy. Krew, bijąca do głowy, ogłuszała go. Tak stał chwilę, jak bez świadomości. Gdy znów oczy otworzył i znowu ten lud, całujący nogę Chrystusa, zobaczył, dziwna myśl błysła mu nagle w mózgu, uśmiech cierpki i pełen nienawiści zmienił się w szyderski i zwycięzki, a z oczu zaświeciła mu zła, dzika radość. Wpatrzył się w twarz Zbawiciela, którego oczy, jak mu się zdało, tkwiły na nim uparcie, i podniósł pięść nieznacznie:

— Do widzenia!—zaszeptał — fałszywy odkupicielu, do widzenia! Tak—my się jeszcze zobaczymy!

Byłoż to możliwe? Szeptem wymówione te słowa zbudziły, zdało się, echo w kościele, i szeptem znowu wracały do uszu Abisaina.

„Tak, my się jeszcze zobaczymy!"—słyszał wyraźnie dźwięk cichy i tajemniczy, i zdało mu się, że usta figury, usta drewnianego Chrystusa, poruszyły się lekko...

Abisain drgnął, za chwilę wszakże wzruszył ramionami, wiedział, że było to tylko złudzenie rozdrażnionych nerwów.

Udało mu się teraz pod murem domu wolną drogę śród tłumu znaleźć, przesunął się w cieniu, sam cień jeszcze ciemniejszy, przez plac, i skręcił w pierwszą ulicę, jaka się nadarzała. Ztąd pośpieszył przez pustoszejące już miasto, wyboistą drogą, bez dalszych przeszkód, do domu Meribala.

Wszedłszy do sali godowej, znalazł tam nieład. Krzesła były poprzewracane, resztki biesiady, nawpół próżne puhary i misy stały dotąd na stole. Jedyna świeca gorzała w jednym z kandelabrów, i zmrok zalegał wszystkie kąty.

Znużony Abisain rzucił się na siedzenie, niedaleko nawpół rozsuniętej zielonej zasłony, z poza której zjawiły się dziewczęta z harfami.

W tej chwili wszedł Meribal.

— Jak się miewa twa córka? — spytał śpiesznie Abisain.

— Sądzę, że śpi — odpowiedział Meribal.— Nie było to nic, chwilowe tylko znużenie, skutek postu, a potem wzruszenie podczas śpiewu. Mówmy wszak o sprawie, która cię tu z powrotem przywiodła.

— Ależ ta sprawa i jej też się tyczy — rzekł młodzieniec.—Daj mi ją za żonę. Wiesz już oddawna, że o Rispie myślę. Wiadomo ci, żem nie mniej od ciebie bogaty, a wiesz także, iż szanowałem cię zawsze, jak ojca. Zdawało mi się, że sprzyjasz mym nadziejom; czemu nagle stawiasz mi warunki?

— Ponieważ sam nie mam syna — odrzekł Meribal—któż ma po mnie żar nienawiści ku nieprzyjaciołom naszym odziedziczyć, jeśli nie zięć mój? Rispa? Kobiety nie zdołają nienawidzieć... chyba tego, kto ich kochać nie umie.

— Ty wiesz, że umiem nienawidzieć, jak mało kto—rzekł Abisain—a Rispa pozna, jak umiem miłować.

— Sądzę, że umiesz nienawidzieć—rzekł Meribal, podając mu rękę — a jeżeli stawiałem warunki i żądałem dowodu twej nienawiści, to dlatego tylko, aby dolać oleju do ognia, aby jak rumakowi, dać ostrogę twej nienawiści i zmusić jądo skoku.

— Tego, zaiste, nie było potrzeba — odparł Abisain — a jednak postępek twój przyniesie owoce. Dałeś mi ostrogę, jak mówisz, i wegnałeś mnie tem na drogę, wiodącą od mglistych jeno zamysłów ku czynom. Będziesz zadowolony. Posłuchaj! Błądziłem naoślep ulicami. Kroki zaniosły mnie ku tak zwanej pustelni Krzyża. Nie mogąc ruszyć się w tłumie, musiałem być świadkiem wstrętnego bałwochwalstwa tych przeklętych. Całują stopy drewnianej figurze fałszywego odkupiciela. W chwili, gdym ich przeklinał, Bóg natchnął mnie myślą pomsty. Będziesz świadkiem, że sami tego swego Chrystusa, przeklinając go, z krzyża ściągną!

— Powątpiewam — rzekł Meribal zimno i z niedowierzaniem.—Wyobraźnia cię unosi. Ale wytłómacz się jaśniej.

— Wiesz—zaczął mówić—że oddawałem się gorliwie tajemnej wiedzy, że poświęcam się magii, że zajmuję się alchemią. Szukam eliksiru żywota i probuję wyrabiać złoto. Nie osiągłem dotąd ani jednego, ani drugiego, ale w tej drodze do wielkich celów, wynalazłem czystym przypadkiem wiele niezwykłych rzeczy. Eliksiru wiecznej młodości, wiecznego żywota nie znam dotąd, za to wszakże znam eliksir śmierci. Wytworzyłem przez rozmaite połączenia jad straszliwy. Jedna pełna flaszeczka wystarczy do otrucia połowy Toleda. Samo jego wdychanie razi już, jak piorun. Raduj się ze mną!

— Kogo chcesz otruć i jak? — spytał Meribal, drżąc mimowoli.

— Sto, tysiąc, dwa tysiące tych psów niewiernych—krzyknął namiętnie Abisain — padnie, dzięki mnie, jutro już w proch, zczerniałych, z wytrzeszczonemi oczyma, z kurczowem wykrzywieniem twarzy! Raduj się ze mną!

Meribal schwycił go za obie ręce, oczy mu gorzały.

— Mów, jak, gdzie?—szeptał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Od firmy Gebethner i Wolff odebrała Redakcya pod datą 1 b. m. pismo, które komunikujemy w całości:

Szanowny Redaktorze!

Przystępując z upoważnienia Rodziny do wydania

Albumu Juliusza Kossaka,

pozwalamy sobie, za łaskawem pośrednictwem Pańskiego pisma, uprzejmie prosić osoby, posiadające w swych zbiorach obrazy i rysunki ś. p. Juliusza Kossaka o podanie swych adresów, wraz z notatką o treści obrazu.

Ze względu, że zamierzone Album ma przedstawić o ile możności najpełniejszy obraz działalności znakomitego artysty, każda najdrobniejsza bodaj praca, będzie pożądaną.

Wiadomości powyższe prosimy uprzejmie nadsyłać pod naszym adresem, lub też pod adresem redakcyi „Tygodnika Illustrowanego," która wespół z synem ś. p. Juliusza, głośnym dziś artystą-malarzem, Wojciechem Kossakiem, dołoży wszelkich starań, by ten pamiątkowy Album pod względem artystycznego wykonania godnym był stanowiska, jakie Juliusz Kossak w dziejach sztuki polskiej zajmował.

Przyjm Szanowny Redaktorze wyrazy szacunku i poważania.

(podpisano) *Gebethner i Wolff.*

KRONIKA

W imię słuszności.

Jedno z poważnych pism tygodniowych pomieściło o pracy kobiet dzisiejszych obszerny artykuł, w którym i kwalifikacye zawodowe kobiety, stojące w rażącej sprzeczności do jej pożądań, i sama nawet gotowość do pracy, przedstawione są w świetle wprost nieprzychylnem.

Autor obecnym był na posiedzeniu sekcyi kobiecej i wyniósł ztamtąd swój nastrój gorzkożółciowy, który rozlewa w piśmie na cały świat niewieści. Opiera się przytem na określeniu p. Bojanowskiej, która przecież jako kobieta nie chciałaby, wedle jego mniemania, być surowym sędzią płci swojej, a jednak i ona zmuszoną jest przyznać:

Że większości starających się dzisiaj o pracę kobiet zbywa na poczuciu obowiązku całkowicie, że przyczyną tego jest brak elementarnego wykształcenia jednych, a salonowość wychowania innych. Że setki całe takich niby-pracownic zgłaszają się do delegacyi, ale większość nie posiad zawodowego przygotowania, dopytują się zatem o pracę po redakcyach pism, chcą być kasyerkami, a w gruncie rzeczy traktują pracę tymczasowo—w oczekiwaniu wybawiciela, któryby im otworzył podwoje małżeńskiego raju.

Całkowicie podziela zapatrywania p. Bojanowskiej autor, dodając od siebie, że w istocie w kwestyi pracy, cała wyższość jest po stronie mężczyzny, który biorąc się energicznie do zadań życiowych, składa tem samem świadectwo, jak dalekim jest od wszelkiej tymczasowości, a w zapatrywaniach swoich na małżeństwo tem się różni od kobiety, że ona ów związek uważa jako otwierającą się erę próżniactwa, podczas gdy on traktuje to jako obowiązek.

Mężczyzna, w dalszym ciągu powiada artykuł, jest sprawiedliwym i skromnym w aspiracyach swoich. Skończywszy 6 klas czuje, iż wie mało, i dlatego z całą nieśmiałością zabiera się do poszukiwania pracy, kobieta zaś po ukończeniu pensyi 6-cioklasowej, staje do konkursu, jak gdyby miała za sobą dyplomy i doktoraty.

Tymczasowość jako źródło złego, niedopuszczająca przejęcia się obowiązkiem, rodzi fuszerkę, wszędzie, gdzie kobieta owładnie jakąkolwiek gałęzią pracy, to też widzimy tę fuszerkę i w rachunkowości utrzymujących księgi handlowe, i retuszeryi, i malarstwie — robieniu krawatów, kwiatów, krawiectwie, nauczycielstwie—przedewszystkiem w tem ostatniem. Kobieta nie posiada ducha stowarzyszania się, a jako dowód przytacza artykuł, że zapisało się ich do cechu krawieckiego 400, a żadna dobrowolnie nie opłaca składki. Obecnie radzi autor delegacyi, aby zamiast projektowanych kursów rachunkowości, zajęła się raczej propagandą potrzeby tych kursów, i zachętą do nich kobiet, pragnących starać się o posady buchhalterek. Mają też być kursa osobne dla szwaczek, życzących sobie wyjechać na wakacye letnie, ale zakres tych ostatnich winien być zdaniem autora rozszerzony, albowiem właścicielki ziemskie żądają od szwaczek oprócz ich fachu, aby umiały jeszcze żąć sierpem i t. d., i t. d., jako potrzebne latem do robót gospodarskich.

Pozostawiając bez wyjaśnień zarzut ostatni, który zresztą uważamy jako najściślej obowiązkowy zwrot i nieuniknione zakończenie każdego artykułu w każdem piśmie postępowem, przejdziemy do zarzutów stawianych powyżej kobietom. Zarzuty te są dwojakiej natury: jedne dotyczą całego ogółu kobiet, inne specyalnie odnoszą się do żywiołu nazwanego przez autora piaskiem lotnym, a to ze względu na jego przyrodzoną nieużyteczność, a zarazem niepodatność dla kultury. Do tego piasku mają być niby podobne one pracownice nieudolne i dotąd niepoprawne.

Zacznijmy od ostatnich.

Przedewszystkiem mamy sobie za obowiązek powiedzieć, że ktokolwiek w ocenie kobiety dzisiejszej wszelkiej, a najbardziej poszukującej chleba, nie uważa jej za ofiarę wytwarzających się stosunków społecznych, ten wychodzi z założenia bezwarunkowo mylnego. Kobieta jest ofiarą. Jako istota, która dopomina się o należne jej prawo do bytu, winniśmy współdziałanie, radę i pomoc czynną, a nie sąd, potępienia, albo szyderstwo. Kształci się ona wiele może i jak może, a że niema poza nią wielowiekowych ułatwień, szkół specyalnych, pomocy naukowych i stypendyów, z jakich korzystają jej nieubłagani sędziowie, więc nie dziw, że te, które szukają dróg pracy, do współzawodnictwa z mężczyzną stanąć dotąd nie mogą. Nie pną się też bynajmniej do stanowisk wybitnych; biorą owszem każdą pracę i poprzestają na ladajakiem wynagrodzeniu. Wyrzucać im, że chcą być aż kasyerkami sklepów i ekspedytorkami w redakcyach, a jednocześnie monitować je o to, że nie są fachowo przysposobione, jest to grubo żartować z tego, co się nazywa zawodem, fachem, specyalnością. Na te pracownice niewybredne łakomi są, mimo wszystkiego, chlebodawcy ze względów, że im to przynosi zysk. Czy im mężczyzna i tego gorzkiego kawałka chleba już pozazdrościł? czy myśli stanąć w poprzek i temu wielkiemu powodzeniu, w imię dobra społecznego zapewne? O ich fuszerce w różnych zawodach nie mówmy lepiej—jest tej fuszerki dosyć poza światem kobiecym, a co się tyczy nauczania, to także nie stajmy z kobietami do porównań, zwłaszcza jeśli mamy brać w rachunek gorliwość i uczucia altruistycznej natury. Będzie to dla nas mężczyzn z korzyścią pominąć milczeniem tę stronę kwestyi drażliwą.

Roztropność doradzałaby również nie poruszać tej tymczasowości i tej każdochwilowej gotowości rzucenia się na szyję małżonkowi-wybawcy, a nadewszystko obowiązkowości mężczyzny i pasożytnej w stosunku małżeńskim roli kobiety. Najprzód zaczyna być takich wyczekujących a niezrażonych coraz mniej, i zanosi się na to, że ich wcale przybywać nie będzie, co dla nas wcale zaszczytem nie jest. Musimy też i my oswoić się z tą myślą, że dotychczasowy w życiu mistrz i przewodnik kobiety, znakomicie się obniżył. Już jej nie imponuje, jak niegdyś — z pewnością nie, a w tej sprawie najlepiej będzie, gdy się własnego sumienia zapyta dlaczego imponować przestał. Co się zaś tyczy tej statystyki, o której także wzmiankuje artykuł, mającej niby dać świadectwo, kto jest w małżeństwie stroną przyjmującą—kto korzysta i wyzyskuje, a przy kim okazaćby się mogła przewaga ofiar dobrowolnych, poświęceń i owej heroicznej obowiązkowości, to piszący te słowa, jako mężczyzna wyznaje ze szczerością zupełną, że byłby bardzo takiej statystyce przeciwny, i że go to tylko uspokaja, iż do jej sporządzenia nigdy nie przyjdzie.

Mogłyby co prawda wypaść fatalnie takie obrachunki.

Wskazówki i rady.

Groszek zielony w konserwie na zimę (na żądanie.

Sposób I. Wybrać dojrzały ale nie przestały cukrowy groszek równej wielkości, a po wyłuskaniu posypać rozłożony na blatach lub półmiskach, cukrem miałkim i zostawić na 24 godzin, wtedy odlawszy sos uformowany, sypać w butelki czyste, suche, zawiązać pęcherzem lub zakorkować i zalać pakiem, wstawić w kociołek z zimną wodą, przełożyć sianem, aby jedna butelka nie trącała drugiej i gotować, licząc od zagotowania wody w kociołku minut 25. Zdjąć z ognia i zostawić butelki w wodzie aż ostygną. Zachować w suchej śpiżarni, bo w piwnicy zawsze pleśnieje. Grochu sypać pełno, jednak nie utrząsać, po zagotowaniu sam opadnie. Podając, uważać go za świeżo ugotowany—tylko zaprawić.

Sposób II. Młody, wyłuskany groch sparzyć wrzątkiem na przetaku cienką warstwą, robiąc to po pół garnca, rozłożyć na deskach w przewiewnem miejscu, a na drugi dzień sypać w kompotyery, puszki blaszane lub wreszcie butelki, zalać przegotowaną ostudzoną źródlaną wodą, obwiązać pęcherzem, zalać pakiem i gotować w kociołku w zimnej wodzie, jak wszystkie konserwy, od zagotowania minut 15, wyjmując gdy ostygną. O dwóch sposobach suszenia na zimę zielonego zielonego groszku, patrz „Jedyne praktyczne przepisy zapasów śpiżarnianych“ wyd. 17.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani W. F. w Sompolnie. Suknie z materyału grubego mają oddzielną spódnicę podszewkową, ażeby szwy nie wypadały zbyt grubo przy obcisłej formie na biodrach. Dolny brzeg falbany podszyć listwą. Takie szczegóły powtarzamy ciągle w opisach szczegółowych rycin i w sprawozdaniach o ubiorach.

Pani M. K. (Krym — Teodozya). Podręcznika uczącego roboty kwiatów z bibułki niema u nas w księgarniach. Bibułki kolorowej na arkusze w różnych gatunkach i kolorach, dostać można w każdym składzie papieru.

Stałej czytelniczce M. J. Najlepsza metoda kroju jest francuzka, podług miary na centymetry. Czas trwania nauki zależy i od osoby uczącej kroju, i przedewszystkiem od osobistych zdolności uczącej się. Umiejętność szycia jest przytem niezbędna, bo złe odrobienie popsuje najlepszą formę. Sam krój może zająć od 2 — 3 miesięcy, z nauką szycia rok czasu. Zresztą nie wiemy, czy Pani chce szyć dla siebie, czy wyuczyć się dla założenia pracowni. Jest wiele szkół i pracowni, w których uczą kroju i szycia bez patentów lub z patentami, wydawanemi przez mistrzynie cechowe. Nauka kroju kosztuje od rs. 15—30.

P. U. Adres składu wyrobów jubilerskich G. wyraźnie zaznaczono u dołu ogłoszenia. Obecnie firma ta już nie istnieje w tem miejscu. Dokąd przeniesioną została—nie jest nam wiadomo.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Łyżki, widelce, noże, oraz przedmioty platerowane zniszczone i wytarte pokrywa na nowo srebrem i złotem po cenach możliwie nizkich **TEOFIL PYCZ** 4, Miodowa 4, w Warszawie.

Prospekt na rok 1899.

„GAZETA POLSKA“

Dziennik polityczny, społeczny i literacki wychodzi w Warszawie przy współpracownictwie doborowych sił pisarskich.

„Gazeta Polska“ od roku zeszłego daje prenumeratorom swoim stale jako

Bezpłatny dodatek Tygodniowy

Co tydzień książkę.

W ten sposób każdy prenumerator „Gazety Polskiej“ otrzymuje od nas

COROCZNIE

52 tomy książek darmo.

Wydawnictwo takie odpowiada potrzebom **rodzin**, którym obok pisma codziennego, stale dostarcza bez kosztu zdrową lekturę książkową, zapoznającą zarówno z ruchem literatury współczesnej, jak z arcydziełami dawniejszej.

Bezpłatny COROCZNIE 52 tomy Darmo *Dodatek*

Tom tygodniowy dodatku rozsyłany jest **bezpłatnie** wszystkim prenumeratorom zarówno w Warszawie jak na prowincyi. Obejmuje on **dziesięć arkuszy** druku i ma za treść co tydzień inny **utwór wybitny,** bądź oryginalny, bądź tłómaczony.

Przejdziemy kolejno wszystkie literatury europejskie i damy czytelnikom naszym kolekcyę dzieł interesujących. Po kilku latach każdy nasz prenumerator stanie się **posiadaczem własnej bogatej biblioteki.**

Bezpłatny COROCZNIE 52 tomy Darmo *Dodatek*

Dotychczas, t. j. od rozpoczęcia wydawnictwa w Październiku roku zeszłego, weszły do niego dzieła następujących pisarzy: **H. Adersen'a, Józefa Blizińskiego, J. Breton'a, Artura Gruszeckiego, E. Goncourt'a, Klementyny z Tańskich Hofmanowej, T. T. Jerza, Stanisława Kozłowskiego, Jana Lama, J. Lie, Ireny Morozowickiej, Tadeusza Padalicy, E. Rostanda** (przekład M. Konopnickiej i Wł. Zagórskiego). W druku dzieła: **St. Pileckiego, Goethego, Maryi Konopnickiej.**

W wyborze materyału literackiego do naszych dodatków książkowych dopomagają nam pp,

Zyg. Gloger, Kaz. Kaszewski, i Ign. Matuszewski.

CENA „GAZETY POLSKIEJ“ wraz z Bezpłatnym Dodatkiem Tygodniowym. **W Warszawie:** Rocznie 9.60 półrocznie 4.80, kwartalnie 2.40, miesięcznie kop. 80. Z odnoszeniem do domu. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rs. 12, półrocz. rs. 6, kwart. rs. 3.

CENA OGŁOSZEŃ w „Gazecie Polskiej:“ Za wiersz petitowy lub jego miejsce na czwartej stronie za pierwszy raz kop. 10, za następne po kop 8. Za wiersz petitowy reklamy na trzeciej stronie kop. 15. Za wiersz petitowy na pierwszej stronie kop. 30. Nekrologii wiersz kop. 15. 25

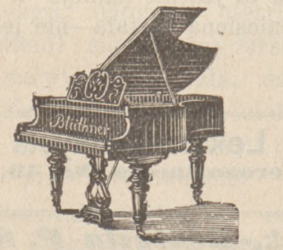
Redaktor i Wydawca **Jan Gadomski.**

Adres: Warszawa, Warecka 14.

GEBETHNER i WOLFF

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

864—50—43 NAJWIĘKSZY W KRAJU

Skład Pianin  *Fortepianów i Organów*

WYNAJEM. Sprzedaż na raty.

SKŁAD MEBLI

Majstrów Stolarskich

A. KLIPPEL i S-ka

ulica Erywańska № 9. 987—25—12

Nowootworzony skład dywanów *ul. Erywańska 14.*

p. fir. **K. Kruszyński i L. Miciński**

poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. — Ceny nizkie.

Sprzedaż na raty. 1028-52-14

Senatorska 37, pałac ordynata hr. Zamoyskiego.

NOWO-OTWORZONY

Skład Kapeluszy Słomkowych

z Fabryki „Psary“ hr. Łubieńskiego i Szwedego, przyjmuje hurtowe obstalunki na kapelusze słomkowe t. zw. szwajcarskie i z plecionek w różnych fasonach. Tamże wyłączna sprzedaż mebli ogrodowych z Fabryki Schlossbergskiej. 23

Senatorska 37, pałac ordynata hr. Zamoyskiego.

BIURO NAUCZYCIELSKIE!

BRONISŁAWY GOLCZEWSKIEJ

Nowotworzone pierwszorzędne kaucyonowane. *Rekomenduje* nauczycieli, nauczycielki, bony różnych narodowości. **44 S.-Krzyzka 44.** 963—25—13

K. M. Schröder

Nowy Świat 24.

Skład fortepianów i pianin.

Wynajem i sprzedaż na raty.

Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**

944—53—30

Dozw. przez Urz. lek. za N. 337 na ogól. zas. handl.



PUDER IRIS

nieszkodliwy,

dostać można w składach aptecznych i perfumeryjnych, prawdziwy tylko w blaszanem opakowaniu z podpisem **H. Lachs.** Pudełko kop. 15, 30 i 50. **Główny Skład Solna № 9.**

947—25— c

Złoto, Srebro i Brylanty

kupuję, wykupuję z lombardów (większych) i **płacę najlepiej,** 994 12-11

Biżuterję, Wyprawy srebrne nowe i odnawiane sprzedaję najtaniej, bo w mieszkaniu.

59, Nowy Swiat 59 m. 5

HENRYK JUWILER.

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe pedagoga **Reussnera** p. t.

Najlepsza Metoda

Najłatwiejsza do **bardzo prędkiego a gruntownego** nauczenia się **Języków Obcych bez nauczyciela,** z objaśnieniem **wymowy** i z **kluczem** na końcu każdego dzieła:

„Samouczek“ Polsko-Niemiecki, kurs wstępny, **(Elementarz)** po kop. 10, 20, 35;—kurs I-szy kop. 60, — kurs II-gi k. 1.60, — komplet (oba kursy) k. 2.00; **Rusko-Niemiecki Samouczek** po kop. 10, 20, 35 i 2 70,

„Samouczek“ Polsko-Francuzki kurs I-szy 13 zeszytów, kurs II-gi 24 zesz. Gramatyka Polsko-Francuzka 10 zesz. po 15 kop. (pocztą 18 k.); na zaliczkę wysyła się tylko **20, 10** lub przynajmniej **6** zeszytów.

„Samouczek“ Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75— kurs II k. 1.20, komplet k. 1.70.

„Samouczek“ Polsko-Ruski z wymową i akcentowaniem wychodzi zeszytami po 10 kop.

Na żądanie wysyła się **bezpłatnie** I-szy zeszyt **Samouczka Francuzkiego i Ruskiego.**

Elementarz Polski z wzorkami pisma i rysunków i z obrazkami **(741 figur)** po 4, 15 i 25 kop.

Na przesyłkę pocztową dolicza się 20 kop. do każdego rubla.—Skład u autora (Reussnera) Złota 6, Warszawa. 5

Dla Pań malujących

Farby, Przybory Artystyczno Malarskie, Wzory, Szkice, Rzeźby i t. p. poleca Skład

T. CZARNOCKIEGO

101, Marszałkowska 101,

w WARSZAWIE. 812-50-45

Na raty Duży Sklep Manufakturnych i Sukiennych towarów. Życzący na raty adres osobiście lub pocztą **Nalewki 36**

12 **Ch. Kantorowicz.**

MAGAZYN MEBLI

Bracka Nr. 25.

oraz

Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Leszno Nr. 24.

ANTONIEGO STRÓMIŁO

przyjmują zamówienia na całkowite urządzenie Apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. 1026-52-14

S. KRZEWSKI i K. PŁODOWSKI

dawniej

M. SZYMAŃSKI

Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych

w Warszawie, Senatorska № 10

poleca: **Naczynia kuchenne i gospodarcze oraz wszelkie narzędzia.** 913-28-18

Broszki, Bransolety, Kolczyki Pierścionki, Spinki, Szpilki

i t. p. poleca 27

Pracownia Jubilerska

J. LIPOWSKI i S-ka

Krak.-Przedm. 71 m. 9, I-sze piętro.

Wyroby własne gustowne. Ceny fabryczne.

Nakładem spółki wydawnictw illustrowanych wyszło:

Album Artura Grottgera

„WOJNA“

(w dolinie łez) 15

11 rycin z portretem Grottgera oraz tekstem T. Szabłowskiego **Cena kop. 80.** w ozdobnej teczce, ryciny w kartonach **rs. 1 k. 50.** Wydanie duże, wykwintne w formacie 42×32 ctm., ryciny na kartonach w ozdobnej tece ze złoceniami **rs. 4 kop. 50.**

Skład główny w księgarni Jana Fiszera Nowy Swiat 7.

Gabinet-dentystyczny.

ze specyalną pracownią do wstawiania

ZĘBÓW SZTUCZNYCH

od **1** do **10** rub. za sztukę

818-52-50 **przyjęcie od 9 do 6:**

Chmielna N-r 16. m. 4.

!! Na raty od 50 kop. !!

poleca

F. Feigenblatt

GRANICZNA 14.

Wyżymaczki, Maszynki do mięsa oraz Naczynia kuchenne emaljowane. 22

Okulary Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2. **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-29

Michał Pik, optyk mech. m. Warsz. **Warszawa, ulica Miodowa nr. 14**

Zakład Stolarski

D. SIARKIEWICZA

w Warszawie,

Grzybowska Nr. 62.

Przyjmuje wszelkie roboty stolarskie, meblowe budowlane, urządzenia sklepowe i t. d. Wyrób staranny. **Ceny nizkie.** 19



GAMASTON

Wiara ✽

Nadzieja ✽

Miłość ✽

Nowelle, z illustracyami

A. Kamieńskiego i S. Sawiczewskiego.

Rs. 1 kop. 50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Administracyi

„Tygodnik Mód Powieści“



Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych

(Ciąg dalszy).

— Będziesz żałował, ale za późno. Pamiętaj!... jeszcze czas — powiedz, żeś chciał żartować z biednej dziewczyny. Zapomnę ci bolu, słowa nikomu nie rzeknę, zamilczę, przysięgam na duszę!... Odgadłam — nieprawdaż?... Ach, powiedz panie! wrócisz mi życie, będę ci wdzięczną do śmierci; będę cię kochać jak dobroczyńcę, jak zbawiciela!

Nagle zatrzymała się, ucięła głos; fala zwątpienia znowu pochłaniała jej ostatni promyk nadziei. Nastusia, z rozpaczą opuściła ramiona.

— Nie — nie! — mówiła sama do siebie — niepodobna, aby ten człowiek tak dalece mnie zwodził; nie miałby serca, dla żartu wymyślać straszne męczarnie. Prawdę powiada; odgadłam ją wprzódy — tu w piersiach. Każą mi zginąć, zatracić się bez ratunku. Zginąć — kiedy na dwa życia — na życia bez granic, wystarcza mi jeszcze kochania! Stało się!... niech wiem przynajmniej za co mnie gubi!...

Użal się nademną!... powiedz mi panie — na wszystkom gotowa Patrz — jestem spokojną — łzy w oczach nie dostrzeżesz; wysłucham cierpliwie. Bogu poświęcę niedolę, tylko nic nie taj przede mną! Musiał przecie mówić dla czego?

— Prawda! szczerze wyznaję, i ja nie jestem bez winy — zawiniłam; gdzie?... kiedy?... nie pomnę; on by mnie nie porzucał inaczej! Gdybyś mi czas tylko przypomniał, gdybyś rzekł jedno słowo... o co poszło?... Bóg widzi, że nie pamiętam.

Nie odpowiadasz?... czy zdjął cię żal nad moją biedą?... zapóźno teraz żałować!... umarli z grobów nie wstaną.

Dziś z rana, przed wyjazdem, mówił ci o mnie?... przysięgnę! W tej samej chwili serce we mnie pękało; nie wiedziałam wtedy od czego. Ach, gdyby śmierć była chciała mnie sprzątnąć! Daremnie — Pan Bóg pokarał mnie życiem!...

Niechaj się pełni Jego wola! wycierpię za moje grzechy; tylko ostatniej prośby na ziemi, wysłuchaj mój panie — potem — nikogo już o nic prosić nie będę. Powiedz, dla czego mnie znienawidził?... Mówiłeś, że znajdę jeszcze łaskę na świecie, niechże ją znajdę u ciebie! Zmiłujesz się — powiesz — ach przecie serca nie masz z kamienia!

Składała ręce, patrzyła mu w oczy, czekała odpowiedzi.

Juliusz palił ją wzrokiem.

— Widzę, że powiesz — rzekła po chwili — biedniejszej ode mnie, sam się przekonasz — nie ma na ziemi.. Dobry mój panie... patrz!... u nóg cię błagam!

Nastusia padła na kolana i zalała się łzami.

Wycieńczona na siłach, ujęła go za ręce i w milczącej prośbie przycisnęła je do ust rozżarzonych gorączkową spieką.

Na widok rozhukanej boleścią dziewczyny, mimowolne wzruszenie zdjęło Juliusza, ale głos sumienia na krótko w nim zadźwięczał. Ta piękna głowa wsparta na jego dłoniach, i śnieżna pierś rozkołysana falą rozpaczy, i wiotka kibić u nóg mu w wężowe kształty spleciona, tulące się ku niemu białe ramiona wieśniaczki, znowu namiętność wpędziły do mózgu; krew ogniem w nim zakipiała, silnie porwał dziewczynę ku sobie, na pierś swą wezbraną szałem ją ciągnął.

Nastusia rozniemożniona cierpieniem, w bezprzytomności, na ramię zwiesiła mu głowę ciężką od łez; jak kwiat u stopy podcięty, chyliła się mu w objęcia, od łkań się cała zanosząc.

Wicher zahuczał przeraźliwie, straszna błyskawica rozdarła ciemny strop niebios; tuż za nią grzmot zdawał się do dna ziemię druzgotać; zadrżały domku posady; drzwi otwarły się z łoskotem...

Blady, z włosem w nieładzie, z obłąkanemi oczyma, z zaciśniętemi usty stanął pośród nich Wilczek.

Juliusz zerwał się — odepchnął dziewczynę.

Nastusia krzyknęła boleśnie; wsparta o krzesło, zatoczyła wzrok błędny do koła; przetarła oczy. Śród ogarniającego ją zmroku nagle dwie ujrzała postacie.

Ten drugi był on!...

Jednym skokiem była tuż przy nim.

Wilczek ręką się przed nią zasłonił.

Juliusz głowę zwiesił na piersi; stał w kącie z założonemi ramiony, szydersko z pod oka spoglądał, czekał rozwiązania groźnej przygody.

Nastusia, niby senna, bezwiedna, jedną ręką wskazywała Juliusza, drugą usiłowała usunąć zaporę broniącą jej przystępu do serca kochanka.

Wilczek ściskał jej ramię jak żelaznemi kleszczami.

— Przeklęta!... — zawołał grzmiącym głosem — dla każdego masz tę samą piosenkę!... Nie w porę przybywam, ale przysięgam ci, że w porę odejdę. Możesz go przy sobie zatrzymać. Ha, ha! — rozmaitość, nie tylko w miastach popłaca. Wybrałaś sobie dzień burzy!... to niebezpiecznie... przy burzy, piorun czasem uderza! Serce ci, widzę, urosło!... dla dwóch dziś może wystarczyć!

Stała jak wryta, jak martwa; słuchowi nie dowierzała i odpowiedzieć nie mogła. Zdradzie łatwiej na słowa się zdobyć; dla niewinności, pierwszą obroną blask niepokalany własnego sumienia.

Wilczkowi zdało się, że chciała mówić.

— Dość tego — rzekł obojętnie — próżnych słów nienawidzę. Znudziłaś się mną; nic w tem dziwnego; żalu mieć nawet do ciebie nie będę. Uprzedzę tylko twoje życzenia: razem już z sobą być nie możemy. Bywaj mi zdrowa na wieki!...

Nastusia wyjąkała niezrozumiale jakieś wyrazy; krew zbiegła jej do serca. Padła bez zmysłów.

Wilczek oniemiał. W pierwszej chwili myślał, że ją zabił. Nadludzki żal ścisnął mu piersi; poskoczył ku niej, chciał wracać do życia — ach sam byłby do niej powrócił, do biednej istoty, która od lat dziecinnych duszę mu była oddała.

Ostatnie iskry uczucia, ostatni promień sumienia, łzą nawet zabłysły mu w oku, zapomniał o sobie, gotów był z rozkoszą paść znowu w objęcia białego anioła.

Juliusz ujął go za ramię.

Wilczek drgnął jakby zakłóty wężowem żądłem; z gniewem wyrwał rękę towarzyszowi, raz jeszcze spojrzał na pół martwą dziewczynę; zatrzymał się na progu, nareszcie jak szalony wybiegł ku pałacowi.

Zdala dochodził go odgłos kroków Juliusza.

Zastanowił się w pół drogi i pomimo burzy, która rozpasywała się bez miary, zadyszany, z obnażoną głową, obojętne czoło stawił nawałnicy, wyzywał niejako do walki rozhukane żywioły.

— Jest Bóg na Niebie — rzekł, gdy go tamten doścignął — jest sprawiedliwość nad światem, jest burza co ryczy nad nami — a dla nas nie ma piorunu!... Przekleństwo na dzień dzisiejszy!...

— Zwykły to porządek na świecie, mój Władziu — rzekł Juliusz, odstępując mu pół parasola — co się zaczyna, kończyć się musi, wracajmy pod dach, inaczej zmokniem do nitki.

Wilczek rzucił nań gniewne wejrzenie.

— Juliuszu!—rzekł—przyjąłem cię w dom jak przyjaciela, jak brata...

— Ja zaś — ciągnął dalej ostatni — zdradą odwdzięczyłem twoje zaufanie; chciałem uwieść, porwać ci kochankę. Nic w tem nie widzę nadzwyczajnego; podobne wypadki nieraz się już zdarzały.

— Niewczesne żarty!... — przerwał Wilczek — takie postępowanie...

— Wymaga zadośćuczynienia; nie przeczę. Będzie to, jeżeli się nie mylę piętnasty twój pojedynek.

— Mniejsza o liczbę; cieszę się, żeś mi oszczędził wstępu, w podobnych razach, zawsze przykrego.

— Zbyt dawno znam cię, mój Władziu, abym nie umiał odgadnąć najskrytszych twoich życzeń; ale tu, na wsi, we dwojkę nie możemy się zabijać.

— Nie mówię o wsi; chwili dłużej nie potrafiłbym tu pozostać; natychmiast wyjeżdżam; znajdę Skałkę po drodze.

— Wątpię; Kapitan odsiaduje swój miesiąc u Dzieduszyckiego; ja przed tobą zapewne wyjadę, jeżeli furman mój prędzej od twojego zaprzęże. Ruszam prosto do Lwowa i tam czekam na twoje rozkazy.

— Nie nadużyję twojej cierpliwosci — odparł Wilczek. prosząc go gestem, aby pierwszy wszedł do pałacu.

Juliusz uchylił czapki i wbiegł szybko do swego pokoju, gotować się do wyjazdu.

— Tym razem — mówił sam do siebie — obejdziesz się bez pojedynku; chociaż po prawdzie, ja raczej powinienbym szukać zemsty i wpakować ci kulę pod czwarte żebro za wyrwanie się jak Filip z Konopi, z niewczesnem przybyciem!... Szczególny człowiek!... w czepku się urodził; wszystko wiedzie się mu jak z płatka!...

Niebawem, pusto było w pałacu; gość i gospodarz rozjechali się każdy w swoją stronę.

Z trzech postaci ostatniego dramatu została tylko na miejscu dziewczyna.

Nastusia po kilku godzinach bezwładzy, zwolna wracała do życia.

Ocknęła się na podłodze, strasznie znękana; cierpiała, jak gdyby przez zdruzgotaną czaszkę, żelaznemi szpony mózg jej szarpano.

Podniosła głowę, wsparła się na dłoni; spojrzała w okół osłupiałym wzrokiem.

Burza oddawna już ustała; deszcz tylko cichym szmerem wydzwaniał na szybach grobowe jakieś melodye.

Długo zbierała rozprzężone myśli, chwytała się za głowę, tarła powieki; przerażona uciekała przed pamięcią i znów rozbijała się o krwawą rzeczywistość.

Rozstawione w nieładzie sprzęty, płaszcz Wilczka rzucony na ziemię przypomniał jej całą prawdę wypadku.

Zerwała się, załamała ręce; gorące powieki na łzę zdobyć się już nie mogły; sucha, okropna boleść tłoczyła ją ku ziemi.

Dziwne, straszne jakieś myśli, musiały przewijać się po głowie Nastusi; kilka bowiem razy żegnała się trwożnie, jak gdyby odpędzając czarnego ducha podszepty.

Odegnany westchnieniem do Boga, przylatywał znów na skrzydłach rozpaczy, gryzł ją zębem zwątpienia, podmawiał na zatratę duszy i ciała.

Nastusia wybiegła do przybocznego pokoju, zdjęła z nad łóżka szkaplerz i obrazek Poczajowskiej Bogarodzicy, uklękła, twarz w dłoniach ukryła, poczęła żarliwie się modlić.

Ach, była to jedna z tych modlitw, jakie z wieśniaczego serca i z prostej wiary płyną ku Wszechmocnemu Obrońcy uciśnionych, ku jedynej pociesze, ku Ojcu dzieci bez szczęścia i bez dziedzictwa na ziemi. Było to zaofiarowanie niepojętych cierpień na chwałę Pana wszech rzeczy, gorąca prośba o wytrwałość, o radę w niedoli.

— Matko siedmiu boleści! — nie opuszczaj mnie, wysłuchaj!... — powtarzała, tuląc do ust cudowny obrazek.

Długo Nastusia klęczała zaprzepaszczona w myślach zaświatnych, a gdy powstała, z zapadłych jej oczu święte błyskało natchnienie; w skołatanej głowie zaświtał zamiar, modlitwą u niego wybłagany.

Dziewczyna rękę położyła na sercu; wahała się chwilę — niedługo. Postanowienie i wola odniosły zwycięztwo. Jakby nie należąca do siebie, wiedziona wyższym rozkazem, jęła ustawiać sprzęty, składać pod zamknięcie dary kosztowne Wilczka i drobne przedmioty, zacierać w domku ślady pobytu żywego ducha.

Została jeszcze nietknięta mała skrzyneczka.

Nastusia otworzyła ją, wyjęła prostą ubogą odzież wieśniaczki, pamiętny ubiór, w którym on ją był niegdyś porwał od matki, ubiór, który był dla niej świętą relikwią, najsłodszą życia pamiątką.

Za chwilę już miała go na sobie, już z pańskiego zbytku, z pańskich podarków znikły ostatnie poznaki. Złożyła wszystko, zamknęła, szkaplerz swój tylko zabrała i chust własnych biednych kilka zaściągła w zawinek, i chłopskim, polskim zwyczajem w węzeł kawałek chleba uwiązała, dla siebie, a prędzej jeszcze dla głodnych, potrzebnych ludzi na drodze.

Stanęła na progu; wszystko już było gotowe.

Na niebie chmury rzedniały; słońce u zachodu, na pociechę po burzy, słało ziemi kilka krwawych promieni; drzewa i kwiaty wzruszone lekkim wiatru powiewem, sypały dyamenty rosy; ptaszki wylękłe nawałnicą wdzięcznie witały powrót pogody.

Nastusia pobiegła ku nim, otworzyła okno i klatkę; uleciały z więzienia, ale jak gdyby nie chciwe wolnego przestworu, zostały wszystkie w pokoju, trzepocząc skrzydełkami nad głową dziewczyny, pieszcząc jej ręce i szyję, tuląc się do niej z miłosnym świergotem.

Gorzki, tęskny uśmiech zamigotał na połamanem boleścią jej obliczu.

Więc jeszcze raz mieszkanko obeszła i każdy przedmiot po szczególe żegnała, i za każdym krokiem garnęły się jej do duszy bolesne wspomnienia i za każdym poglądem część serca rzucała za sobą.

Obejrzała się. Kwiaty tysiącem ócz zewsząd na nią patrzyły, ostatni raz chwiały ku niej wonnymi kielichy — ach odtąd nikt już ich nie upielęgnuje, przed wichrem nie zasłoni, poranną rosą nie napoi, nie uweseli złotymi promieńmi! Raz jeszcze, ostatni, równiankę z najmniej różanych, z najmniej jasnych! I te zerwane, i drugie nietknięte, wszystkie niedługo powiędną, zniszczeją. Zerwanym przecie, milej będzie uwiędnąć na ukochanem łonie ich opiekunki. Chodźcie tu bliżej — spocznijcie na piersi; znikome szczęścia dawnego pamiątki; zanim barwy wam zbledną, nim się w pęk ziela suchego zmienicie, w trumnie was złożą razem z biedną stroskaną.

A teraz dalej w drogę!

Tam za borami i polem, za wioską drugą i trzecią, jeszcze za polem i borem, tam opuszczona, samotna, od dwóch lat za dzieckiem płacze Krystyna. Gdy córkę biedną zobaczy, znowu zapłacze, winę daruje, do matczynego serca przyciśnie i użałuje, utuli jak w maleńkości bywało, gdy pieszczotami z łez suszyła dziecinne oblicze.

Dopóki matka jeszcze na ziemi, chociaż skołatana cierpieniem, choć zagniewana i słusznie, jest przecie w życiu otucha. Dość się przed nią użalić, paść do nóg, grzech wypowiedzieć — matka podniesie zbłąkaną, matka o sercu ludzkiem, bo z ludu! Toć jeszcze Pan Bóg pozwoli, że pozostałych kilka dni życia, dziecię staraniom około matki poświęci; i jej też lżej będzie na sercu, gdy dziecku własnemu przebaczy i do modlitwy za grzechy pomoże, bo odpuszczenia ani zbawienia dziecię bez matczynego błogosławieństwa u Boga nie dozna. Zwątlonej rozpaczą, o Panie! daj siły i wytrwałości, i prowadź prosto pod strzechą rodzinną, by łzy na zgrzybiałą twarz padać przestały, prowadź o Panie do matki!... do matki, do matki doprowadź!...

Wybiegła z domku, drzwi zatrzasnęła; po srebrnych ścieżkach miesiąca jak cień mknęła przez ogród.

Stanęła na wzgórku, gdzie go zwyczajnie oczekiwała, gdy wracał z podróży; jeszcze raz wzrokiem zatoczyła do koła.

Stary pałac posępnie tonął w ciemnej lip i świerków otchłani; w oddali, niby grobowiec z marmuru, bielił się między krzewy mały domek, zwalisko szczęścia, uczucia i wiary.

Obojętny świadek ludzi i rzeczy, Dniestr, roziskrzoną wstęgą płynął gdzieś w nieskończoność.

Wszystkie struny życia rwały się w piersiach dziewczyny; przedarła ciszę nocną stłumionym krzykiem rozpaczy, raz ostatni ku lubym pamiątkom boleśnie wyciągnęła ramiona, oburącz szkaplerz uścisnęła, zbiegła ze wzgórka i dalej w drogę!

I rada była, że nocą wybrała się w podróż; w dzień może byłoby trudniej opuścić miejsca kochane. Biegła samotną drożyną i wkrótce, przed okiem nawet księżyca, znikła w gęstym, jodłowym lesie.

Wiatr szumiał, szumiał między gałęźmi, liść zeschły szeleścił jej pod stopami; strach czasami zdejmował biedną pątnicę, drżący wzrok rzucała przed siebie, szemrała litanję do Bogarodzicy i cudowną pielgrzymów modlitwę: *Kto się w opiekę poda Panu swemu.*

Ranek zaczynał już świtać, siły Nastusię zdradzały, na drobnych nóżkach słaniała się, chwiała, do wioski jeszcze było daleko — bardzo daleko.

Brała na wolę, chciała biedz dalej — byle wyjść z lasu, byle do krzyża co czernił się na rozstaju.

Tchu jej zabrakło, na brzegu lasu padła pod drzewem.

Cała się rozniemogła tak, iż myślała niebogа, że ciężką śmiercią bez księdza przyjdzie jej umrzeć.

(Dalszy ciąg nastąpi).